

# „Błękitna” – sanitariuszka z Czerniakowa

Wacława Juszkiewicz-Kamińska

11 czerwca 1939 r. dwoje młodych warszawiaków zawarło związek małżeński, w pięknej starej świątyni pw. Świętego Krzyża. Czekali na ten radosny dzień sześć długich lat. Czekali cierpliwie i wiernie. Ona – Zosia Bobrowska – hoża dwudziestolatka, absolwentka Szkoły Handlowej Sióstr Nazaretanek. On – Henryk Pierzchalski, o trzy lata starszy, świeżo upieczony oficer Państwowej Policji. Poznali się na słynnym warszawskim lodowisku Torwarze. Od pierwszego wejrzenia zakochali się w sobie bez pamięci. Rodzice obojga patrzyli na ich miłość z serdeczną aprobatą. Jednak na drodze do ich szczęścia stanęły przepisy.

Oficerowie Wojska Polskiego i Policji mogli się żenić tylko z panną posażną i posiadającą maturę. Niestety Zosia nie spełniała żadnego z tych warunków. Młodzi postanowili pocze-kać i wspólnie się dorabiać, pracując. Niebawem Henryk awansował i został skierowany na samodzielną placówkę do Złoczowa. Zosia zaś pomagała swej matce w prowadzeniu domu, w którym oprócz ojca było jeszcze dwóch braci: Henio i Władzio. Rodzina była duża, wymagająca poświęcenia, pracy i finansów. Zarobki pana Michała Bobrowskiego, choć był świetnym stolarzem-bednarzem zatrudnionym w renomowanym Browarze Haberbuscha, były raczej średnie. W domu na Żelaznej panowała atmosfera prawdziwie rodzinna, bogobojna i patriotyczna. W jej ciepłe i wzajemnej miłości wzrastały dzieci kochające Boga i Ojczyznę. Zosia oprócz pomagania matce, przepięknie haftowała i w ten sposób zarabiała. Znajdowała również czas na pracę charytatywną i samarytańską – jak wiele ówczesnych dziewcząt.

Niepostrzeżenie przyszedł pełen niepokoju rok 1939. Coraz głośniejszy słyssało się o możliwości wybuchu wojny na skutek nasilających się niemieckich roszczeń terytorialnych. Nastąpiła odwilż w przepisach dotyczących zawierania małżeństw przez oficerów, która pozwoliła



Zofia Pierzchalska



na ślub Zofii i Henryka. Szczęśliwa para zamieszkała wreszcie razem w Złoczowie, ale radość nie trwała długo. W sierpniu 1939 r. Henryk został zmobilizowany. 1 września Niemcy zaatakowali Polskę z ziemi i powietrza. Henryk z tajnym konwojem udał się ku południowej granicy. Zosia wróciła do rodziców do Warszawy. Czarna zaraza zalewała nasz kraj. Front zbliżał się do stolicy, którą niebawem wróg okrążył. Tłumy przerażonych ludzi przelewały się po polskich drogach, mieszały się z wojskiem, wszędzie był front, świstały kule, spadały z nieba niemieckie bomby. Wokół wybuchaly pożary, snuł się dym, dopalały się zgliszcza, ginęli ludzie i zwierzęta, wszędzie panowała groza i wszechwładna śmierć.

Zosia, nie bacząc na grożące niebezpieczeństwo, zgłosiła się do dyspozycji Polskiego Czerwonego Krzyża (PCK), jak wiele polskich dziewcząt i kobiet. Przecież tak ją wychowano, przecież była żoną polskiego oficera. Więc stanęła na zew Ojczyzny, która znalazła się w potrzebie.

Pewnie zgodnie z poleceniem Pani Jadwigi Suffczyńskiej, dysponującej pecekowskimi drużynami sanitarnymi, w centrali PCK przy ul. Piusa, dołączyła do tych

patroli, udzielając rannym pomocy. Dostarczała napoje, żywność oraz materiały opatrunkowe walczącym na przedpolach Warszawy. [Myślę, że jeszcze w szkole, a może w ZHP, PWK, przeszła przeszkolenie sanitarne, bo taki m.in. był program działania tych stowarzyszeń, rozszerzony



Zofia Pierchalska

fot.: Archiwum prywatne Marka Pierchalskiego

w latach 1938-39 o ratownictwo przeciwgazowe i przeciwlotnicze – przyp. autora]

Po kapitulacji Warszawy, jako żona polskiego oficera została najpewniej skierowana do Wojskowego Szpitala Ujazdowskiego, w którym pozostała tylko część medycznego personelu, który wymagał wsparcia przez wolontariuszy. Część załogi wraz z rannymi została ewakuowana w kierunku Mińska i dalej na wschód. Jakież niepokojem musiał sercem Zosi, kiedy Niemcy po zbrojnym wejściu do ZSRR, odkryli masowe groby polskich oficerów WP i Policji, w lesie koło Kozielska. Jedyнным uspokojeniem było to, że na listach ogłoszonych przez Niemców i PCK, nie było nazwiska jej męża. Nadal jednak targala nią niepewność – co się dzieje z ukochanym?

Po wstrząsie, jakiego doznaliśmy po prawie błyskawicznym opanowaniu naszego kraju przez Niemców oraz po wtargnięciu Sowietów i zajęciu naszych wschodnich rubieży, natychmiast nastąpiła mobilizacja całego społeczeństwa do stawienia oporu najeźdźcom. Naród zszedł do podziemia. Powstała tajna władza administracyjna. Już na przełomie września i października 1939 r. zaczęły organizować się bojowe oddziały pod nazwą Służba Zwycięstwu Polski, niebawem zmienioną na Związek Walki Zbrojnej, a w roku 1942 przekształcony w Armię Krajową.

W całym kraju nazwanym przez okupanta Generalną Gubernią i na ziemiach anektowanych przez wrogów owa konspiracyjna organizacja podlegała Komendzie Głównej z siedzibą w Warszawie. Komenda z kolei była podporządkowana Polskiemu Rządowi RP na uchodźstwie, przebywającemu w Londynie. Polska była podzielona na konspiracyjne Okręgi. Okręgiem nr 1 była Warszawa złożona z siedmiu Obwodów, odpowiadających dzielnicom stolicy. Obwodem nr 1 było Śródmieście, a w nim Rejony: Śródmieście, Stare Miasto, Powisłe



i Czerniaków, z którym bardzo ściśle były związane losy Zosi Pierzchalskiej – sanitariuszki „Błękitnej”.

W Rejonach tworzone oddziały liniowe i ich sanitarne zaplecze. Do Sanitariatu należała sieć byłych szpitali wojskowych, szpitale cywilne oraz istniejące oficjalnie ambulatoria, przychodnie i ośrodki zdrowia. Jednocześnie organizowano konspiracyjnie sieć szpitalików polowych, punktów opatrunkowych, magazynów z lekami, materiałami i sprzętem sanitarnym. Od zaraz i nieustająco szkolono personel medyczny, jawnie i w konspiracji; lekarzy – w tzw. Szkole Zaorskiego, a pielęgniarki w Szkołach Pielęgniarstwa na Koszykowej, Smolnej 6 oraz na Karowej u położnych. Sanitariuszki i sanitariuszki szkoliły ww. instytucje oraz Polski Czerwony Krzyż, tajne Harcerstwo, tworząc Pogotowie Harcerskie, a także Wojskowa Służba Kobiet (WSK). Na specjalną uwagę zasługuje WSK, której komendantką na szczeblu Okręgu Warszawskiego AK była Ludmiła Urbanowicz ps. „Nasturcja” – absolwentka Seminarium Nauczycielskiego, mocno związana z ZHP.

Zofia Pierzchalska, jako żona polskiego oficera, najpewniej została wolontariuszką Szpitala Ujazdowskiego, gdzie oprócz pielęgnowania chorych kontynuowała naukę asystowania przy zabiegach chirurgicznych. Współdziałała również w wykonywaniu licznych tajnych zadań polskiej Służby Zdrowia. Na pewno złożyła też przysięgę akowską na „Boga, Honor i Ojczyznę”, zobowiązującą do serdecznej tajemnicy. I pewnie tu przyjęła pseudonim „Błękitna”, pochodzący od koloru sukienki, którą często nosiła i wszyscy ją po tym rozpoznawali.

Jednym z pierwszych tajnych zadań wojskowo-polskiego szpitala, obok leczenia, operowania czy rehabilitacji naszych żołnierzy, było szybkie odesłanie ich do domu lub na konspiracyjną „melinę”. Często wymagało to zaopatrzenia delikwenta



for: Archiwum prywatne Marka Pierzchalskiego

*Pierścionek sanitariuszki Zofii Pierzchalskiej ps. „Błękitna”, подарowany jej przez rannego Powstańca*

w fałszywy ausweis i dostarczenia mu cywilnego ubrania. Celem takiego działania było uchronienie polskiego żołnierza od niewoli, aresztowania, a nawet śmierci z rąk gestapo.

Równie niebezpiecznym zadaniem było zorganizowanie oddziałów zakaźnych dla chorych na gruźlicę, dur brzuszny i plamisty. Choroby te dziesiątkowały ludność, a Niemcy bali się ich „jak ognia”. Oddziały te stały się swoistymi „przechowalniami” ludzi „spalonych” – zagrożonych niemieckimi represjami. Jednakże to trudne zadanie było niebezpieczne również dla osób tam pracujących. Po pierwsze groziło zakażeniem, które zdarzało się dosyć często, po drugie zaś – w razie „wpadki”, wykrycia – zemstą wroga, tzn. represjami – od aresztowania po śmierć.

Oprócz permanentnego szkolenia sanitarnego przeprowadzano ćwiczenia sanitarnej łączności, bardzo ważnej wobec stale rozwijającej się akcji sabotażowo-dywersyjnej, prowadzonej przez Kedyw KG ZWZ-AK. Łącznością kierował kpt. dr Cyprian Sadowski, a za sprawność wykonawców odpowiadała phm. Stanisława Kwaskowska ps. „Pani Stasia”. Jakże wielkiej precyzji, szybkości, odwagi i świetnej organizacji wymagała ewakuacja rannego z terenu walki do zakonspirowanego szpitala i odwrotnie – ze szpitala na „melinę”. Czy mogło zabraknąć w tym łańcuchu Zosi „Błękitnej”? Na pewno nie. Myśl o mężu, który mógł potrzebować pomocy i ktoś być może mu jej udzielił, dodawała jej sił i odwagi.

Przyszła wreszcie rok 1944. Komenda Główna Armii Krajowej postanowiła osta-



tecznie rozprawić się z barbarzyńskim okupantem. Wyznaczyła dzień „X” i godzinę „W” na rozpoczęcie ogólnego powstania. Wszystkie Służby stały w pogotowiu. Czekano na sygnał. I nagle się zaczęło.

Był 1 sierpnia, ciepły letni, lecz trochę chmurny, dzień. Pamiętny. Tu i ówdzie nie zaczęto na wyznaczoną godzinę 17.00, padły strzały, nie wiadomo kto zaczął. Jeszcze wszyscy nie dotarli na miejsca zbiórek. Młodzi, piękni, skupieni i radosni, jawnie i odważnie biegli na wyznaczone posterunki. Często tylko beret z polskim orzelkiem, biało-czerwoną opaską na rękawie, chlebak przewieszony przez ramię, wyróżniał ich w tłumie. Przestali być tajni, zostali solidarni.

Już stają barykady. Na nich gotują się do walki Powstańcy. Warszawiacy wieszają polskie flagi. Euforia ogarnia umęczonych nieludzką niewolą. Zewsząd grzmi coraz głośniejsza kanonada. Coraz rozleglejszy staje się front walki, o każdą ulicę, zaułek, dom, o każdy skrawek warszawskiej ziemi. Wróg wali pancernym żelastwem w niepokorne miasto. Samoloty zrzucają tysiące bomb. Na domy. Na ludzi. Na szpitale czerwonym krzyżem oznaczone. Za nic mają genewskie umowy niemieccy barbarzyńcy. Gruzy na gruzy się sypią. Krew po bruku się leje. Padają zabici i ranni: Powstańcy, cywile, młodzi i starzy, kobiety i dzieci. Przybywa mogił i krzyży w podwórkach, na skwerach. Groza i śmierć wszechobecna wokół. Dzień po dniu. I tak tych dni było aż 63.

Czerniaków rozłożony i okopany między Mokotowem, Wisłą, Powiślem, parkiem i stadionem. Akcjami bojowymi, prawie do Placu Trzech Krzyży sięgając, broni się dzielnie. Bronią go chłopcy od „Kryśka” – zaprawionego w bojach kpt. Zygmunta Netzera. Tymczasem uzbrojeni po zęby Niemcy prą naprzód. Czołgami i goliatami kruszą mury, rozrywają barykady. Sami też giną. Są ich jednak tysiące. Wdzierają się w głąb powstańczego przyczół-

ka, mordują niewinnych, dobijają rannych. Nieludzkie potwory...

Sanitariuszka „Błękitna” stanęła natychmiast na rozkaz w punkcie opatrunkowym w Domu Starców przy ul. Czerniakowskiej 168 ulokowanym w suterrenach. Sprawnie pomagała kierownicze (medycze Krysi Godlewskiej) wraz z „Iskrą”, „Burzą”, „Bończą”, „Mrówką” i innymi dziewczętami. Opatruje rannych. Myje, poi, karmi, pociesza nieszczęśliwych, wzywających Matki... roznieca gasnące iskierki nadziei i życia... czuwa przy konających, których powstańczy kapelan „Cichy” pojednał z Bogiem.

Nieraz przez skołataną głowę Zosi przebiegają słowa Chorału – skargi: „Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej, do Ciebie Panie bije ten głos...” – błaganie o łaskę, o pomoc, o moc i skruszenie nielitościwego miecza...

Szarzała sukienka Zosi, na jej błękitcie coraz więcej było śladów powstańczej krwi. Wszakże nie wolno rozpaczać! Trzeba trwać nieustannie na samarytańskim posterunku.

Linia walki zbliżała się do Punktu tak, że nie sposób było przenieść ciężko rannych do ZUS-u na Ludną. Wtedy odważna i zdecydowana medyczka Ela Miratyńska amputowała rozszarpaną rękę. Piłą stolarską. Bez właściwego sprzętu, bez narkozy, przy pomocy dzielnych sanitariuszek. Jedyne możliwe w tych warunkach ratunek został wykonany.

Niemiecka nawałnica zmusiła dzielne dziewczyny do likwidacji placówki. Pod gradem kul kolumną sanitarna dotarły z rannymi do szkoły na Zagórnej pod dziedziątym. Tu zorganizowany połowy szpital miał do dyspozycji dużą powierzchnię: parter, piwnicę, 200 łóżek, salę operacyjną. Niestety już był pełny. Byli lekarze, pielęgniarki, sanitariuszki, dobre zaopatrzenie. Brakowało jednak wody, światła, leków. Mnóstwo pracy. Kiedy Niemcy odepchnę-



li Powstańców od Wisły, kiedy wstrzymali forsowanie Wisły przez Berlingowców, sytuacja stała się groźna. Część załogi poszła z rannymi przez gruzy, płomienie po ratunek na Powiśle. Część zeszła do kanałów; może znajdą pomoc w Śródmieściu, może na Mokotowie? Część została. W piwnicach. Pociski, granaty kruszyły mury i ludzi. Ledwo noc minęła, wtargnęli Niemcy. To był sądny dzień, czterdziesty ósmy dzień powstania. Przylecieli, wypatrzyli i kazali szykować marszową kolumnę. Byli w niej ranni Powstańcy i cywile – kobiety i dzieci. Pod karabinami pognali ich przez ruiny, pożary i zgliszcz na Szucha. I tam na dziedzińcu siedziby wszelakiego zła, niemieckiego gestapo, Powstańczą kolumnę rozstrzelali. Po kilku godzinach wrócili niemieccy oprawcy. Żądali wydania <sup>polni</sup> ~~oprawców~~ <sup>Fanico</sup>. Nie wydały. Przedtem dzielne sanitariuszki zniszczyły wszelkie powstańcze znaki, emblematy powstańcze, legitymacje AK, umundurowanie. Niemcy znów kazali sformować kolumnę z chorych i rannych, mężczyzn, kobiet i dzieci. I znów pognali nieszczęsnych na Szucha. Wierne swej misji – Krysia, Ela, Błękitna, Strączek – niosły na noszach ten drogi ich sercom ciężar Powstańcy.

Sanitariuszka Zosia Pierzchalska ps. „Błękitna”, razem z rannymi z Powstania, wyniosła na swoim palcu pierścioneł z włosów i rafii, wykonany i подарowany jej przez rannego Powstańca, którym opiekowała się w piwnicach szpitala.



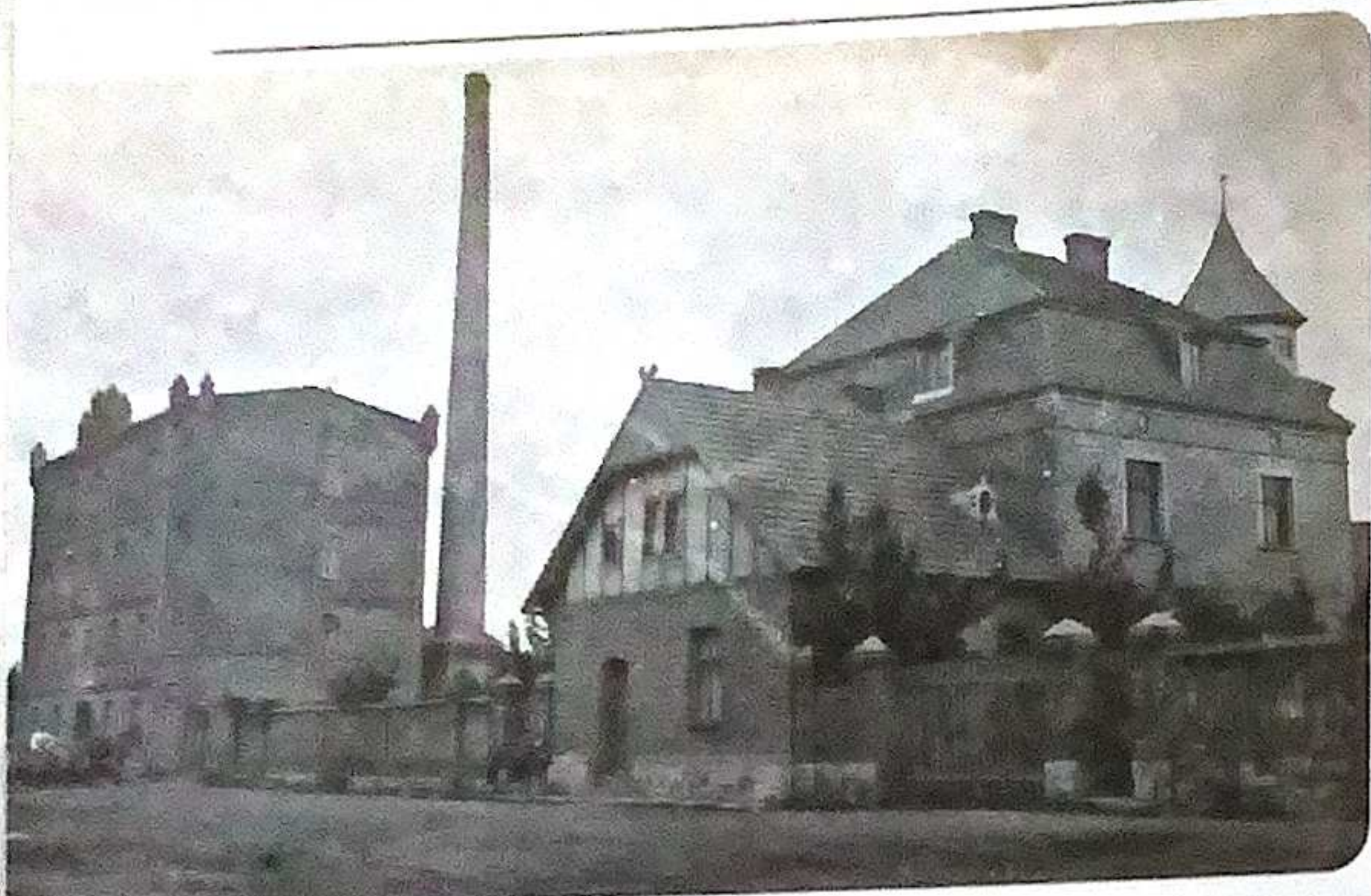
Medal pamiątkowy Armii Krajowej Zgrupowania „Kryśka”



Czy Zosia wiedziała, że w tej jaskini niemieckiej zginął jej brat, Powstaniec Warszawski? Dla niej i całej kolumny Opatrzność Boża chyba sprawiła. Zamiast kul padł rozkaz dalszego marszu. Droga przez zrujnowaną Warszawę z ciężko rannymi dla wyczerpanych sanitariuszek była prawdziwą Golgotą. Nie wiedziały co stanie się z nimi i ich podopiecznymi. Zmęczenie sięgało zenitu, kiedy doszli biedacy do Dworca Zachodniego, ostatniego skrawka Warszawy. Tu z tysiącem warszawskich tułaczy, poranionych na duszy i ciele, zostali wtłoczeni do pociągów wołowych. Przewiezieni i doprowadzeni do

Dulagu 121, zbiorowego obozu, utworzonego przez Niemców w Pruszkowie. Stłoczeni w fabrycznej hali, w nieludzkich warunkach czekali. A Niemcy segregowali tę ludzką biedę i formowali transporty do Rzeszy do niewolniczej pracy w polu, w zbrojeniowych fabrykach lub do kaźni – do obozów koncentracyjnych, gdzie głodem, gazem, rozstrzelaniem byli dziesiątkowani. Szczęście mieli ci, co w Polskę byli więzieni, bo ludzie dobrej woli, spod znaku Czerwonego Krzyża, Rady Opiekuńczej, Kościoła, brali rodaków pod swoją serdeczną opiekę. Sami byli w biedzie, ale solidarnie potrafili dzielić się chlebem. Zosia „Błękitna” trafiła na tę lepszą drogę. Wyrzucona z setkami tułaczy na krakowski dworzec, nie zginęła. Wnet ona i jej towarzysze otoczeni zostali przez ludzi z pecekowskim krzyżem. Zziębniętych i zgłodniałych





fot.: arch. Aleksander Śmigajski

Młyn i dom rodziny Szczepkich w Śremie,  
lata międzywojenne XX w.

w Punkcie Sanitarno-Odżywczym nakarmili, napoili, ciepło okryli, bo już zimno jesienne zaczęło dawać się we znaki. Na Lubiczu przy dworcu był hotel ogromny. W nim PCK urządził Dom dla wędrowców. Później, po wojnie, nazwano go Domem dla Bohatera. I słusznie. Dawał schronienie Polakom z różnych stron świata wracającym do kraju. Z przymusowych robót, z niewoli, z kacetów, z różnych frontów, gdzie walczyli o „Naszą i Waszą Wolność”. Dobrzy ludzie zabierali biedaków pod swój dach. Tak stało się i z Zosią Pierzchalską. Skierowana do Makowa Podhalańskiego została przygarnięta przez górali – rodzinę Spyrków z Zawoi. Leczyła u nich rany duszy i ciała. Kiedy była już zdolna do życia, ruszyła do rodzinnego miasta, do bohaterskiej Stolicy. Szła w niej po gruzach bez ulic, po Warszawie odartej ze swego dawnego piękna. Prawie pustej, bez ludzi, z coraz większą rozpaczą w sercu. Nie zastała domu na Żelaznej. Nie napotkała nikogo z ukochanych bliskich. Jeszcze w Makowie serdeczni znajomi, Państwo Szczepscy – właściciele młyna, zaproponowali Zosi swój dach w Śremie. I u nich właśnie znalazła opiekę, dom i pracę w młynie. Powoli zbierała siły i chęć do życia, nie ustając w poszukiwaniu rodziny.

Pewnego razu rozległ się dzwonek u drzwi. Kiedy otworzyła, zobaczyła wychudzonego, zarośniętego człowieka, pilnie się jej przy-

glądał. Nie poznała swego ukochanego męża – tak był zmieniony. Radości i rozmowom nie było końca, o tym, co przeżyli przez długich sześć lat rozłąki.

Henryk Pierzchalski, uniknąwszy niewoli niemieckiej i sowieckiej oraz uwolniwszy się od internowania w Rumunii, dostał się na Węgry. Tu włączył się do pracy konspiracyjnej siatki polsko-węgierskiej, która umożliwiała przedostawanie się polskim uchodźcom do Armii gen. Władysława Andersa lub gen. Maczka, aby walczyć o „Naszą i Waszą Wolność”. Młodzież polską kierowano do Szwajcarii lub do Anglii na dalszą naukę. Działalność ta była bardzo niebezpieczna. Aż w końcu wojny została odkryta przez Niemców. Aresztowano wielu, wśród nich męża Zosi – Henryka Pierzchalskiego. Został zesłany do oflagu pod Dreznem. Opatrzność pozwoliła mu przeżyć i ten – najtrudniejszy etap życia.

Szczęśliwi z połączenia małżonkowie początkowo zamieszkali w Śremie, gdzie przyszło na świat ich troje uroczych dzieci: Michał, Marek i Marysia. Trójka tak jak w domu pp. Bobrowskich na Żelaznej – dwóch chłopców i dziewczynka. U schyłku życia, po etapie w Swarzędzu, zamieszkali w Kaliszu u syna Michała. I tu odeszli na wieczną wartę.

Zofia Pierzchalska z domu Bobrowska, urodzona 17 czerwca 1913 r. w Warszawie, córka Michała i Marii z d. Dudek, zmarła 25 stycznia 1999 r. w Kaliszu. Henryk Pierzchalski urodzony w 1910 r. w Warszawie zmarł 24 sierpnia 1992 r. w Kaliszu.

Zostali pochowani na cmentarzu parafialnym przy Kościele p.w. św. Michała Archanioła przy ulicy Dobrzeckiej w Kaliszu, sektor B, rząd 3, grób 38.

**Cześć ich pamięci!** ■

Wacława Juskiewicz-Kamieńska,  
była łączniczka i sanitariuszka ZWZ-AK